

Od końca XVIII wieku podejmowane były na ziemiach polskich kolejne, nieudane i niedokończone próby modernizacji. Dziś jesteśmy w trakcie kolejnej. W czym jest podobna, a czym różni się od poprzednich? Czy – tak jak w przeszłości – po okresie wzrostu czeka nas negatywny szok? Co zrobić, by do niego nie dopuścić?

Dyskusje nad koniecznością modernizacji polskiej gospodarki, czyli dostosowania jej rozwoju do przemian dokonujących się na Zachodzie rozpoczęły się już w połowie XVIII wieku. Nasiliły się one w okresie rządów Stanisława Augusta Poniatowskiego, a ostatecznego wyrazu nabrały w sformułowaniach Konstytucji 3 Maja. Idee oświeceniowej modernizacji starali się wcielać w życie przedstawiciele tego samego pokolenia także w okresie Księstwa Warszawskiego oraz Królestwa Kongresowego przed powstaniem listopadowym. Wtedy ukształtowały się główne linie sporu o modernizację Polski, które co pewien czas w nowych formach ożywają.

Trzeba wskazać, że przez ostatnich ponad 200 lat właściwie wszystkie ważniejsze opcje polityczne, za wyjątkiem jedynie partii komunistycznej rządzącej w latach 1944-1989, były przynajmniej werbalnie zwolennikami westernizacji. Przez cały ten czas znaczenie faktycznych krytyków modernizacji na wzór zachodni było w polskiej polityce nikłe. Linie sporu dotyczyły więc raczej sposobu modernizacji, jej dynamiki i punktów odniesienia, niż faktycznych celów. W odniesieniu do tych ostatnich różnice definiowane były jedynie przez różne wyobrażenia Zachodu. Pomimo kolejnych nieudanych wysiłków modernizacja i dogonienie Zachodu, postrzegane było jako coś względnie łatwego – w czym ewentualnie pomóc mogłoby państwo.

[mc4wp_form id="84"]

Różne modele modernizacji

Różnice między koncepcjami dotyczyły przynajmniej trzech wymiarów. Po pierwsze, zakresu przeprowadzanych reform społecznych i instytucjonalnych. Tak było choćby z końcem pańszczyzny i reformą uwłaszczeniową – i tak w końcu faktycznie przeprowadzoną przez zaborców. Spór dotyczył tego, na ile szybko reformę można przeprowadzić oraz jaki powinien być jej zakres (jeśli kwestia wolności nie pozostawiała wątpliwości, w kwestii własności było wiele stanowisk).

Po drugie, kluczowym sporem był spór o zasadę modernizacji. Z jednej strony umieścić można, z reguły liberalnych w poglądach ekonomicznych, zwolenników reformy instytucjonalnej, z drugiej, często nastawionych etatystycznie lub interwencjonistycznie, zwolenników ekspansji fiskalnej i inwestycyjnej państwa. Choć oczywiście stanowiska były tu dużo bardziej zniuansowane, lapidarnie można

by te dwie koncepcje ująć jako modernizację od instytucji do nowoczesnego społeczeństwa i spontanicznie budowanej, nowoczesnej gospodarki albo modernizację od fabryki (jako metafory nowoczesnej organizacji społeczeństwa) fundowanej przez państwo po to, by przekształcić społeczeństwo. Fabryki te oczywiście miały pełnić także ważne funkcje ekonomiczne, budując potencjał gospodarki.

Po trzecie, zmieniały się punkty odniesienia. Modernizatorów pociągała liberalna Wielka Brytania, ale niejednokrotnie fascynowała ich też doskonała organizacja państwa pruskiego czy etatyzm Francji. Przypomnieć można, że organizacja administracji i polityki gospodarczej Księstwa Warszawskiego naśladowała właśnie pruską (zresztą na większości ziem Księstwa zaprowadzoną po III Rozbiorze). Ówczesni modernizatorzy nie odwoływali się właściwie wcale do tradycji I Rzeczypospolitej, a wzory francuskie przejmowali w prawie i sprawach militarnych (ale nie organizacji państwa). Generalnie Francja, od czasów napoleońskich była trwałym punktem zaczepienia dla wszystkich polskich nadziei odbudowy, a potem budowy silnego państwa w Europie.

Dwa sposoby myślenia o gospodarce

Projekty modernizacyjne ostatnich wieków miały niemal zawsze imitacyjny charakter – tu sporu właściwie nie było. Oczywiście kwestią dyskusyjną pozostawało, na ile zewnętrzne wzory należy dostosować do lokalnych, polskich warunków, a na ile należy je bezpośrednio transplantować. Jednak, ze względu na relatywnie krótkie okresy stabilizacji instytucjonalnej, przerywane długimi okresami suwerenności lub falami rewolucyjnych przemian, rzadko udawało się zbudować samodzielnie instytucjonalne fundamenty państwa, a różne formy imitacji stawały się konieczne. Powstanie Księstwa Warszawskiego czy Królestwa Polskiego na gruzach dawnego ustroju, budowa od podstaw II i III RP, czy nawet powstawanie pod sowiecką kuratelą PRL-u nie tworzyło warunków do dbałości o tworzenie instytucji długiego trwania.

Można powiedzieć, że ponad podziałami politycznymi ukształtowały się dwa sposoby myślenia o gospodarce. Ten związany z politycznym uniwersum ufundowany był na – jak się wydaje – naiwnym czy też niedojrzałym przekonaniu, że da się państwową ingerencją łatwo i trwale pobudzić gospodarkę do rozwoju, tak by dogonić, lub jak wierzyli komuniści, przegonić Zachód. Wierzyli w to polityczni cynicy i pragmatycy, chcący przy okazji upiec swoją prywatną lub polityczną pieczeń, ale wierzyli i idealisci. Politycy byli przekonani (i nadal często tak jest),

że w warunkach braku prywatnego kapitału, przy kłopotach z dostępem do gospodarek Zachodu, z niskiej jakości kwalifikacjami na rynku pracy, tym co może zapewnić cywilizacyjny skok, jest wyłącznie interwencja państwa. A tą można przecież dość łatwo dobrze „wymyślić” – czy to przez budowę infrastruktury, czy to przez kolejną industrializację. To z tego powodu zaczęły się inwestycje Staszica, a potem Druckiego-Lubeckiego w zagłębiu staropolskim. Z tego samego powodu sposobem na zniesienie nierówności społecznych i nierówności regionalnych oraz na doskoczenie do Zachodu miał się stać plan 4-letni (i jego 15-letnia kontynuacja) Eugeniusza Kwiatkowskiego. Celem było zbudowanie fundamentów dalszego, kapitalistycznego rozwoju etatystycznymi narzędziami – z przekonaniem, że państwo (uosobione przez urzędników) będzie najlepiej wiedziało, jak taki proces zorganizować. Dostrzec tu można oczywiście podobieństwa do rozwiązań stosowanych na Zachodzie, a to do kameralistycznej polityki Królestwa Prus, a to do New Deal. Jednak albo były to rozwiązania już porzucone w krajach odniesienia (Prusy wybrały po upokarzających klęskach w wojnach z napoleońską Francją inną ścieżkę rozwoju), albo jednak inne – w USA dominującą rolę na rynku zachował sektor prywatny, nawet jeśli wspierany państwową polityką.

Drugi sposób myślenia, bliższy przedsiębiorcom, części ekonomistów i (z rzadka) niektórym politykom opierał się – i opiera – na przekonaniu, że bezpośrednia interwencja państwa częściej szkodzi niż pomaga gospodarce. Nie zawsze i nie wszędzie jest to spostrzeżenie prawdziwe, ale, podkreślmy to jeszcze raz: w warunkach relatywnie słabych instytucji – jak ma to miejsce w Polsce – państwo jako modernizator rzeczywiście raczej sobie nie radziło.

Mitologia ponad faktami

Nieudane i te częściowo udane państwowe modernizacje przeprowadzone na polskich ziemiach z różnych powodów przekształciły się w pozytywne mity. Po kilkudziesięciu latach publicznych inwestycji w zagłębiu staropolskim, pod koniec XIX wieku rejon ten pozostawał słabo zurbanizowany i zacofany (nawet na tle Królestwa Kongresowego). Opisany piórem Wańkowicza sukces COP-u i planu 4-letniego był – przynajmniej w pewnym stopniu – złudny. Mimo to, do dziś oba są pamiętane jako wzorcowe modele gospodarczego sukcesu „pchanego” przez państwo. Wielu polityków chciałoby zostawić po sobie na wieczne czasy pamiątkę taką jak COP, czy choćby Gdynia.

Z drugiej strony skoki rozwojowe związane z liberalizacją gospodarki, otwarciem

rynku pracy i globalizacją, jak w Królestwie Kongresowym w ostatnich dekadach XIX wieku, jak po roku 1989, czy – z pewnymi zastrzeżeniami – jak po reformie Grabskiego w 1924 r., pamiętane są słabiej. Warto mieć na uwadze, że ekspansja fiskalna państwa dodatkowo rodzi pokusy korupcji i nepotyzmu, z którymi poradzić sobie bardzo trudno. I znów doświadczenie historyczne uczy nas, że polskie państwo radzi sobie z nimi słabo („ten dom zbudujcie bez kantów”, jak miał powiedzieć Piłsudski do architekta, który odwdzińczył się budynkiem z zaokrąglonymi narożnikami, sąsiadującym z warszawskim hotelem Europejskim).

Rozwój na niedojrzałych fundamentach

W efekcie można powiedzieć, że ważną składową polityk rozwoju cywilizacyjnego Polski w ostatnich 200 latach była pewna ich niedojrzałość. Politycy oczekiwali pełnej skuteczności państwowych polityk rozwojowych, a także – zupełnej zgodności oczekiwań z faktycznymi osiągnięciami. Przynosiło to nieuniknione rozczarowania – fabryki bywały przestarzałe już w momencie otwierania, tak samo jak wytwarzane w nich produkty. Zbudowana infrastruktura niejednokrotnie okazywała się nie tak kluczowa, jak zakładano, a zmiany społeczne nie zawsze prowadziły w oczekiwanym kierunku.

W dodatku punkty odniesienia, te wyobrażone miejsca w których dobijemy do przystani o nazwie „Nowoczesność”, okazywały się zmienne i wciąż oddalające. Imitacyjne polityki rozwojowe niejednokrotnie miały w sobie zawarte ciche założenie, że zmieniać się będzie tylko Polska, a nie otoczenie zewnętrzne, a zwłaszcza punkty odniesienia. W efekcie, gdy na przykład udało się już – w modelu II rewolucji przemysłowej – zindustrializować Polskę, mniej więcej w czasach Gierka, okazało się, że z jednej strony zachodni przemysł już jest zupełnie inny, z drugiej – że coraz ważniejsze miejsce w procesie rozwoju odgrywa nowoczesny sektor usług.

W pogoni za nowoczesnością barierą niejednokrotnie była też powierzchowna tylko znajomość Zachodu. Wprawdzie polscy modernizatorzy wiedzieli, jak wyglądają fabryki, koleje i drogi, jednak zrozumienie fundamentów, na których zbudowana jest europejska cywilizacja przemysłowa okazało się zdecydowanie trudniejsze. Zróżnicowanie kultur instytucjonalnych krajów Zachodu jest efektem długiej, rozciągniętej w czasie ewolucji. W jej wyniku, ze względu na różne otoczenie kulturowe, specyfikę rynków, struktury społeczne doszło do ukształtowania się sieci instytucji formalnych i nieformalnych dostosowanych lokalnie do potrzeb. Ich imitacja, na kolejnych szczeblach złożoności, jest coraz trudniejsza – wymaga

odpowiedzi na pytania, co imitować, co się sprawdzi w polskich warunkach, jakie dostosowania są potrzebne, jakie są przyczyny różnic między różnymi rozwiązaniami instytucjonalnymi.

Z reguły kopiowanie instytucji dokonuje się bez rozważenia tych uwarunkowań, w oparciu o sympatie i fascynacje modernizatorów. To zaś prowadzi potem do zdumiewających ich rozbieżności pomiędzy wzorem, a ostatecznym rezultatem (marginalnym, choć ciekawym przykładem jest ewolucja KRRiT i proces jej „psucia” wskutek dostosowania do polskiego otoczenia instytucjonalnego). Tej słabej znajomości Zachodu towarzyszy dość dobre zrozumienie specyfiki Rosji, zakorzenione w polskim doświadczeniu historycznym. Niestety, jak do tej pory nikt nie wymyślił, jak Polska mogłaby, bez zagrożenia suwerenności, z tego rozumienia Rosji skorzystać w procesie rozwoju i doganiania Zachodu.

Szanse i zagrożenia otwartości

Ostatni z wysiłków modernizacyjnych, zapoczątkowany w latach 90. XX wieku część wcześniejszych błędów wydaje się powielać. Zmieniały się wizje tego, na kim mamy się wzorować (przez wiele lat za wzorzec uznawaliśmy m.in. kraje południa Europy, ale globalny kryzys unaoczniał słabość tamtejszego modelu). Ewolowało też postrzeganie roli państwa w kształtowaniu procesów rozwojowych. Jest jednak jeden istotny czynnik, który sprawił, że pomimo błędów i słabości minione 25 lat można uznać za sukces. Tym czynnikiem było uznanie, że skok cywilizacyjny dokonuje się w relacji ze światem zewnętrznym – poprzez umiejętne otwarcie gospodarki, budowę potencjału eksportowego, włączenie się w regionalne procesy rozwoju, korzystanie z szans, które daje globalizacja i powstanie międzynarodowych łańcuchów tworzenia wartości.

Otwartość gospodarki ma jednak także swoją drugą stronę – czyni kraj znacznie bardziej wrażliwym na to, co dzieje się globalnie. W tym kontekście kluczowym wyzwaniem na kolejne lata wydaje się to, na ile okażemy się sprawni w „czytaniu świata”. Świata podlegającego dynamicznym przeobrażeniom, które sprawiają, że to, co sprawdzało się w minionych latach niekoniecznie będzie działać w przyszłości.

Źródło: Kongres Obywatelski. [Czytaj dalej...](#)